

# Legenda o Sekretnej Stajni

Aleksandra Wewior, 15 lat

**M**ój dom był zawsze moim domem ze względu na stajnie.

Wychowywałem się w pewnej wiosce o nazwie podobnej do wierzei. Właścicielką stajen była ciotka Róża i była ona moją jedyną prawdziwą matką. Prawdziwą, bo tej rodzonej nie znałem, nie pamiętałem i nigdy nie próbowałem szukać. Za późno uświadomiłem sobie jak bardzo matka była mi potrzebna, a za wcześnie – że przecież już ją mam. Ciotka Róża zabrała mnie kiedyś z jakiegoś przepelnionego sierotami przytułku. Ona i inni dorośli stajenni nauczyli mnie wszystkiego, co powinienem umieć. A że byłem wtedy dzieckiem, wzięli mnie do najbardziej sekretnej roboty jaką można mi było zlecić. Nie płacono mi wtedy pieniędzmi tylko jedzeniem, łóżkiem, przychylnością i zaufaniem, które musiałem zdobywać sam swoim zachowaniem. Dochowywaniem tego, czego kazano mi dochowywać. Tajemnic, których nie wolno było zdradzać.

Na początku nie mogłem zrozumieć do czego ciotce, której nigdy nie nazywałem inaczej, mimo iż była moją matką, potrzebny był mały chłopiec z przytułku. Miała już kilku dobrych stajennych, którym i tak płaciło się tyle, aby nie rozpowiadali niepotrzebnych rzeczy. Ale wiele pytań między mną a ciotką przez długi czas pozostawało bez odpowiedzi. Poza tym na początku dziwiło mnie nie tylko to.

Może gdybym był trochę starszy słyszałbym już jakieś plotki o tych stajniach i tym Pensjonacie. Podobno mówiono, że tamtejsze konie przewyższają najszybsze standardy. Nie można jednak było w żaden sposób sprawdzić dokładnych najemców ani ras tych koni. Wszystko było w jakiś tajemniczy sposób tuszowane i nikt nie mógł dotrzeć do żadnych faktów. O tych plotkach dowiedziałem się kilka lat później. Wtedy, gdy znałem już rozwiązanie tej zagadki.

Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej wizyty w Sekretnej Stajni. Na początku myślałem, że trzyma się tam po prostu konie najlepszych ras, dlatego nazywa się ją Sekretną Stajnią. Ciotka Róża ścisnęła moją rękę wyjątkowo mocno, gdy mnie tam zabierała. Wchodziło się tam nie głównym frontowym wejściem, a mniejszymi drewnianymi drzwiami z boku, za węglem, na prawo. Drzwi też nie otwierało się zwyczajnie, przekręcając klucz w zamku czy odsuwając skobel. Nie było tam zresztą żadnego skobla ani dziurki na klucz. Tylko gładka deska drzwi. Do otwarcia ich potrzebne było pióro. Pióro, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Wytrzeszczyłem oczy do granic możliwości, gdy jako mały chłopiec stałem z ciotką i dwoma zaufanymi stajennymi przed wejściem do Sekretnej Stajni. Ciotka Róża wyciągnęła z długiej kieszeni w pasku

pomarańczowo - złote pióro, smuklejsze i delikatniejsze od jakiegokolwiek ptasiego pióra. Wydawało się niemal przezroczyste, gdy sprawnym ruchem dotknęła drzwi w miejscu, gdzie znajdować powinna się klamka lub coś w tym rodzaju. Zawiasy kliknęły lekko. Ciotka pchnęła drzwi ostrożnie, jakby były ze szkła, oglądając się przy tym dookoła i za siebie. Stajenni pchnęli mnie do środka, a ona weszła ostatnia, chowając piórko do kieszeni i znów szybko łapiąc moją dłoń.

Z początku, mrużąc oczy, widziałem tylko wielobarwne, oślepiające światło bijące ze wszystkich stron. Później z tego światła zaczęły formować się kształty. Najpierw ujrzałem delikatne zarysy tysiąca migoczących piór, później dziesiątek ogromnych skrzydeł i lekkie sylwetki stworzeń, podobnych do koni, ale z pewnością nimi nie będących. I nagle wszystko zgasło, zapadły mi na oczy dwie czarne kurtyny, których ani rusz nie mogłem rozsunać. Później ciotka Róża tłumaczyła mi, że zamknąłem oczy. Ze płakałem.

Podobno gdy wracaliśmy, do Pensjonatu nieść mnie musiał jeden ze stajennych, bo nie mogłem iść o własnych siłach. Ja sam niewiele pamiętam, ocknąłem się dopiero w środku, w moim łóżku i z dłonią wplecioną w palce ciotki Róży. Popatrzyła mi wtedy w oczy i powiedziała stanowczo:

- O tym, co tam zobaczyłeś, nie masz mówić nikomu. Pokazałam ci pegazy, bo wierzę w twoje oddanie. Wierzę, że dochowasz tej tajemnicy. Obdarzam cię moim zaufaniem.

Byłem wtedy małym, niechcianym chłopcem, bez rodziny i bez znaczenia. Takie słowa podziały na mnie jak wyzwanie, jak początek nowej historii. I, gdy dorastałem w Pensjonacie i w stajniach ciotki Róży, te słowa siedziały we mnie tak głęboko, że, nawet gdybym chciał, nie potrafiłbym ich z siebie wyrzucić. Zresztą zupełnie nie chciałem. Chciałem tylko mieć dom i matkę, chciałem tylko budować własną historię. Niczego więcej wtedy nie pragnąłem, niż po prostu zostać w tamtym miejscu.

Z czasem poznawałem u ciotki Róży wielu moich nauczycieli życia, włączając nią samą. Najważniejszymi z nich były pegazy. Codzienna opieka nad nimi nie przestawała być dla mnie jak uczestniczenie w czymś najważniejszym, najcudowniejszym na świecie. Przy nawale obowiązków, jaki mi przypadał, nie miałem czasu poznać się na koniach. Nie zwracałem jednak uwagi na docinki i żarty obserwujących mnie ludzi, gdy przy jakichś niezwykłych okazjach musiałem nakładać końską uprząż. Nie martwiłem się wybuchami śmiechu, gdy widzieli, jak mylę nachrapnik z wędzidłem. Uśmiechałem się wtedy mściwie i powtarzałem

w duchu, że ci prostytutki nie wiedzą, co widziałem dziś rano, jakie grzywy dziś czesałem, jakie pióra zbierałem z podłogi.

Był jeden Pegaz, którego znałem od źrebięcia, którego mogłem śmiało nazwać przyjacielem. Nigdy nie nadałem mu żadnego imienia, bo wiedziałem od ciotki, że pegazom nie nadaje się imion. Zresztą nie potrafiłbym wymyślić imienia, które w pełni oddawałoby mojego Pegaza. Często, gdy Pegaz akurat wrócił z podróży, rozmawiałem z nim, gdy czesałem mu grzywę, rozwijając kołtuny i wyplątując liście. Wydawało mi się nawet wtedy, że opowiada mi o wszystkich niezwykłych miejscach, w których był. O świecie, który dla mnie wciąż istniał tylko w jego opowieściach.

Do moich nauczycieli dochodzili jeszcze zaufani stajenni ciotki oraz ci, którzy przychodzili i odchodzili. Oczywiście pracowali oni tylko przy koniach i nie mieli pojęcia o Sekretnej Stajni. Byli jeszcze goście Pensjonatu – bogaci kupcy i przedsiębiorcy oraz biedniejsi pracownicy przyjeżdżający dylżansami pocztowymi. Każdego wieczoru wszyscy oni zbierali się w kawiarence na dole, tańczyli i upijali się, obijając o ściany i dymiąc cygarami. Wtedy nie sposób było odróżnić ich od siebie. Wszyscy ci ludzie uczyli mnie czegoś istotnego. Nie sprawiało różnicy to, że nawet mnie nie zauważali. Dziwne, ale za każdym razem, gdy gapilem się na nich lub z nimi rozmawiałem, czułem wdzięczność. Po prostu – za wszystko co robili, obojętnie co by to było. Ludzie pijani uczyli mnie jak to jest za dużo wypić. Nieuczciwi – to jest oszukiwać. Dobrzy – jak nie dać się zwieść.

Było jednak coś, co napawało mnie lękiem. Strach ten wzbudzili we mnie pewni stajenni, którzy zatrudnili się u ciotki pewnego lata, na parę miesięcy. Mieszkałem już w Pensjonacie od ponad trzech lat. Kiedy pierwszy raz z nimi rozmawiałem, jeden z nich powiedział mi:

- Widać po tobie, chłopaczk, że nietutejszy jesteś.
- Jak to? - spytałem zaskoczony. - Piąty rok już tu pracuję.
- Ano – zaczął drugi – nie w tym rzecz. Ja znam takich jak ty. Prędzej niż szesnaście lat skończysz już cię tu nie będzie. Masz w sobie coś z miasta, chłopaczk. Coś z ulicy. Nie pobędziesz tu długo, może kilka lat.

Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Od zamieszkania tutaj żyłem w przeświadczeniu, że zostanę tu, u ciotki Róży, na zawsze, do końca moich dni. Toteż przeraziłem się okropnie na samą myśl o tym, że mógłbym kiedyś dorosnąć, rozstać się z ciotką i pegazami, pojechać gdzieś, być gdzie indziej...

- W takim razie może się jeszcze zobaczymy – podchwycił pierwszy. - A poszukaj nas w mieście, może w jakichś tańszych hotelikach.

- My niespokojne duchy jesteśmy - zarechotał drugi. - Wszędzie po trochu nas można znaleźć. A może i przyłączysz się wtedy do nas?

Uciekłem wtedy daleko, do mojego ulubionego miejsca w lesie. Wlazałem na moją małą, pokrzywioną dziką jabłonkę i siedziałem tak, do zachodu słońca. Niewiele więcej pamiętam, ale wróciłem jakby inny, odmieniony. Bardziej spokojny, opanowany. Zamknięty w sobie. Tak, zupełnie inny.

Ciotka oczywiście po pewnym czasie zaczęła się martwić. Gdy podczas następnych miesięcy zamykałem się coraz bardziej, nie wiedziała, czy zostawić mnie w spokoju, czy wmuszać mi pomoc. Nie wiedziała, czy się zmieniam, czy po prostu dorastam. Ja też nie wiedziałem. Czułem tylko, że coś dziwnego i obcego rośnie we mnie z każdą chwilą. Jakby tym czymś było to „coś z ulicy”. Moje zmysły zaczęły działać w inny sposób. Inaczej już patrzyłem na matkę, na dom, na pegazy. Na gości, na stajennych, na las i na sam Pensjonat. Na alkohol, na stroje bogatszych klientów, na ładne kobiety i dym cygar. Nie dało się tego zatrzymać. Gdy próbowałem opowiadać o tym Pegazowi nawet on odwracał głowę, jakby nie chciał o tym słuchać. Zostałem z tym sam.

Pewnego dnia rzeczywiście odszedłem. Ledwo co skończyłem szesnaście lat. Wyjechałem z Zajazdu ciotki Róży, prawie się nie żegnając, nic nie wyjaśniając. Pojechałem do miasta i zacząłem być kimś innym.

Mój syn bardzo się zmienił. Nigdy się nie domyślałam, że dorastanie może być tak trudne, tak nieobliczalne. On nazywał to „czymś z ulicy”. Powiedział mi o tym kiedyś, na początku. Wtedy dopiero zaczynało go to fascynować, głównie się tego bał. Potem nie mówił o tym wiele. Tak bardzo chciałam mu wtedy wytłumaczyć to, o co kiedyś, lata temu, pytał. Po co był mi wtedy mały chłopiec z przytułku zamiast krzepkiego parobka. Ale nie potrafiłam. Przeczuwałam, że nic już się nie zmieni, że tak już musi zostać.

Przyjechał kiedyś do mnie. Wychudły, przemoczony od deszczu, z mocno nadwyrężonymi finansami. Uśmiechał się blado i mówił niemrawo, nie chciał nic opowiadać. Nawet nie pytał o stajnie, o Pegaza. Jakby zupełnie zapomniał.

To, co stało się później, to oczywiście moja wina. To ja podrzuciłam mu do pokoju pióro pegaza. Chciałam, żeby znów otworzył drzwi Sekretnej Stajni. Żeby znów je zobaczył. Żeby stał się znów tym, kogo tak dobrze znałam. Ale stało się to, co się stało.

Nie rozumiem jednak. Przecież musiałam egzaminować każdego, kto chciał wynająć u mnie pegazy. Zaglądałam w tak wiele oczu i miałam tak

wiele sposobów, by wyciągnąć z ludzi prawdę. Kiedyś myślałam nawet, że bardzo dobrze znam się na ludziach. Ale nie, już tak nie myślę. Zaskoczył mnie mój własny syn. Skąd mogłam przypuszczać, że wędruje się do Sekretnej Stajni, jakby być złodziejem i on sam ukradnie Pegaza? Że porwie go jakby Pegaz był rasowym psem lub po prostu złotym świecznikiem? Skąd mogłam wiedzieć, że mój własny syn, milcząc o pegazach przez całe lata po wyjeździe, gdziekolwiek był i z kimkolwiek rozmawiał, nagle zapragnie pokazać je światu? Jak zwykły uliczny kuglarz zbierając monety do czapki?

Kochałam go wtedy tak samo. Byłam pewna, że on mnie też. Ale tak bardzo dusił to w sobie, tak próbował tego uniknąć. Jakby chłopiec, którego kiedyś znalazłam, zniknął gdzieś, utopił się w stawie, zgubił w lesie. Przepadł.

Tam, gdzie chciał pokazać Pegaza po raz pierwszy, była też jego matka. Oboje wiedzieli o swojej obecności. Ona od początku, on od pewnego momentu, gdy zbliżyła się do jego wozu okrytego płachtą. Oboje mieli tak zacięte i pozbawione emocji twarze, gdy ostatni raz ze sobą rozmawiali. Zwykle pod maską takich twarzy kryje się ogromny ból. Matka próbowała mu coś wytłumaczyć, gestykując rękoma. „Nie uda ci się – mówiła. - To przestanie działać. Nie rób tego!“. Ale on nie pojmował. Patrzył tylko przed siebie, niewidzącym wzrokiem. Potem powiedział tylko dwa słowa. Bardzo cicho, brzmiało to trochę jak „coś z ulicy“. Matka nie usłyszała, chciała, by powtórzył. Ale tłum już domagał się pokazu. Zza wozu dobiegały krzyki i gwizdy. On odwrócił się i po chwili pokazał ludziom zwykłego konia. Zwykłego konia, nie Pegaza. A jego matka odeszła. Nie miała już sił.

Od tego czasu w wierzyckich stajniach nie ma już pegazów. Zniknęły wraz z urwaną miłością, która łączyła matkę i syna. Syn zagubił się w sobie jeszcze bardziej, został wyśmiany, nikt już o nim nie pamięta. Matka oddała Pensjonat komuś innemu, wyprowadziła się gdzieś, nikt nie wie gdzie.

Mówi się tylko, że czasami widać nad stajniami i nad Pensjonatem dziwne, migoczące gwiazdozbiory, które zdają poruszać się po nocnym niebie. Podobno przypominają one pędzące stado koni, kto wie, może nawet pegazów.

Jakby stado to wciąż szukało sobie nowego domu.

**Koniec**